Rok II. Numer 6.

NAD POZIOMY

Pismo Młodzieży Państwowego Gimnazjum im. Stan. Staszica w Chrzanowie.

„Młodości! Ty nad poziomy wylatuj!"

A. Mickiewicz.

Cena 25 gr.

Rok II. Numer 6.

NAD POZIOMY

Pismo Młodzieży Państwowego Gimnazjum im. Stan. Staszica w Chrzanowie.

Tadeusz Staich.

W wielką rocznicę.

Zanim dawna Rzeczypospolita Polska uległa przemocy i pogrążyła się w mrokach niewoli, zostawiła narodowi testament, który zawierał w sobie pamiątki po utraconej niepodległości i wytyczne do jej odzyskania. Testamentem tym była Konstytucja Trzeciego Maja. Trzy czarne orły nie pozwoliły by wiekopomny ten czyn naprawił zło rozwielmożnione w Polsce, ale stał się on tem źródłem, z którego płynęła wiara, że Polska żyje w niezłomnej woli Polaków do odzyskania niepodległości. Czyn ten był otuchą i zapewnieniem, że naród ma w sobie siły do życia i rozwoju, a padł wtedy, gdy się na nowo obudził do życia. A im większa była świadomość tego, tem straszniejszą stawała się niewola, tem okrutniejszym wydawał się czyn rozbiorowy, tem gorętsza była tęksnota za wolnością. Ku temu jasnemu promieniowi w mrokach niewoli zwracały się oczy wszystkich.

Konstytucja Trzeciego Maja stała się legendą walki dobra i prawdy ze złem i przemocą, jej rocznica stała się świętem narodowem, poświęconem wspomnieniom utraconej wolności i tęksnocie za jej odzyskaniem.

Konstytucja Trzeciego Maja jest dla nas nierozerwalnym węzłem, łączącym przeszłość z dniem dzisiejszym. W dniu tym, gdy po latach niewoli odzyskaliśmy niepodległość, gdy ręka genjalnego Człowieka z gruzów dźwignęła Państwo Polskie, z radością święcimy ten wielki dzień, który był zapowiedzią i zadatkiem tej niepodległości, którego posiew wydał plon streszczający się w mocy przetrwania i siły — by zmartwychwstać i żyć.

W sto trzydzieści lat potem, uchwalił Sejm odrodzonej Polski Konstytucję Marcową, a w sto czterdzieści dwa lata potem 26. stycznia 1934 mocarstwowa Polska otrzymała Konstytucję godną tego przymiotnika. Te niespełna półtora wieku, to okres zmagań się narodu polskiego z ciemiężcami, to okres triumfu tych zmagań. Przetrwaliśmy i żyjemy wolni — na straży czuwając ukochanej Ojczyzny.

„Kto Ojczyźnie swej służy, sam sobie służy, bo w niej jego wszystko się dobre zamyka" — powiedział Skarga.

Słowa te niech będą hasłem naszem, hasłem filarów przyszłej potęgi Polski.

W stulecie narodzin epopei.

Sto lat mija w bieżącym roku od chwili, gdy największy poeta polski i król - Duch, Adam Mickiewicz, ukończył swą epopeę p. t. „Pan Tadeusz". Ukończył ją po dwuletniej pracy „na paryskim bruku" i wydał podobnie jak Sienkiewicz swą trylogję, „ku pokrzepieniu serc". Jest to rocznica szczególnie ważna ze względu na to, że zwraca naszą uwagę i na same dzieło i na czasy w jakich ono powstało. Zapytajmy się więc najpierw, co skłoniło Mickiewicza do napisania „Pana Tadeusza" ?

Otóż jak nam wiadomo skłoniła go do tego ogromna tęsknota za ojczyzną oraz chęć pocieszenia i uciszenia polskich

emigrantów, którzy „jako piekielna stujęzyczna żmija” sami siebie kąsali i osłabiali narażając się na pośmiewisko obcych.

Były to powody pierwszorzędnej wagi. Już pierwsza z nich wystarczyłaby, ażeby skłonić Mickiewicza do napisania tego dzieła.

Tęsknota bowiem poety za ojczyzną była wielka. Pielgrzym, nieszczęśliwy i znękany, żyjący w niedostatku a do tego atakowany przez wrogów, coraz częściej zwracał się myślą, całą swą stęsknioną duszą, ku swym ojczystym stronom, ku czasom „sulskim anielskim”, młodości „chmurnej i górnej”, miłości płomiennej i nadziei wielkiej.

Odtwarzał sobie w duszy swe rodzinne okolice, polowania z chartami, spory szlacheckie a zarazem gościnność staropolską, zajazdy, przemarsz wojsk Napoleona I-go i t. d.

Pod wpływem tych wspomnień obudziła się w wieszczu nieprzeparta chęć zobrazowania i przekazania potomnym tych czasów wielkich nadziei i gasnącego powoli, ale jeszcze wspaniałego życia szlacheckiego.

Ale i druga przyczyna, która skłoniła Mickiewicza do napisania „Pana Tadeusza” jest bardzo ważna. Mickiewicz jako dobry i przewidujący obserwator wiedział doskonale co się stanie, jeśli emigranci nie przestaną gryźć się między sobą. Dlatego też, by te wzburzone umysły trochę uspokoić, do zgody zachęcić, napisał swą epopeę słusznie mniemając, że ci, w świetlaną bądź co bądź przeszłość narodową zapatrzeni, wzmogą się na siłach, nabiorą otuchy i chęci do współpracy nad dobrem najwyższem, nad celem najszczytniejszym, jakim było dla nich odzyskanie niepodległości.

Skoro więc Mickiewicz napisał i puścił w świat swe dzieło, należy się zapytać czy też ono odpowiedziało swemu przeznaczeniu? Nie można na to odpowiedzieć bezwzględnie śmiało: tak! Bo chociaż przyniosło ono wieszczowi istotną ulgę i pociechę, to jednak drugiego swego zadania początkowo nie spełniło!

Dopiero później, gdy nastały czasy strasznych prześladowań i srogiego ucisku, rzucono się do „Pana Tadeusza” po pociechę i ukojenie. Znacznie później odnaleziono w nim skarby piękna i prawdziwej poezji. Dopiero następne pokolenia poczęły się uczyć miłości ojczyzny na „Panu Tadeuszu”.

Nic też dziwnego, że ostatecznie utwór ten, stał się jednym z najważniejszych czynników, które spowodowały wybuch powstania w 1863 roku.

Mimo wszystko należy jednak stwierdzić, iż „Pan Tadeusz” chociaż nie zaraz, jak spodziewał się Mickiewicz, lecz dopiero później, zadanie swoje w zupełności spełnił.

Dzisiaj, po wojnie powszechnej, o którą prosił poeta w swej litanji, po odzyskaniu niepodległości, niejeden mógłby sądzić, że wartość „Pana Tadeusza” zmalała. I tak też niektórzy mniemają! Tymczasem jest to zgoła fałszywy sąd. Pomijając bowiem stronę artystyczną, literacką o pierwszorzędnej wartości, zawsze „Pan Tadeusz” jest pozostanie obrazem epoki może najbardziej charakterystycznej w dziejach Polski. Na zawsze pozostanie ta epopea narodowa ową „arką przymierza między dawnemi a młodszemi laty”, a Mickiewicz największym Wajdelotą, który wyśpiewał nam pieśń najpiękniejszą, pieśń łabędzią, mającą rozpalić uczucia i uszlachetnić serca.

Bronisław Smółka kl. VIII.

NOWE DROGI.

Artykuł ten proszę przyjąć tak jak on jest napisany, nie domyślając się rzeczy, o których nawet autor nie śnił a oparty na autentycznym wypadku z pierwszego zebrania Zarządu Redakcji.

Autor „Słowa uznania” narobił swoim artykułem wiele ruchu i zamieszania wśród braci pospólstwa literatów.

Ja coprawda, nie jestem zainteresowany w tej materji no ale, że autor nie jest zadowolony z obecnych prądów „ciężkiej“ i „lekkiej” poezji — przeto postanowiłem stworzyć „nowe drogi” i utorować je naszym „poetom“ i „pisarzom“ prozy Pisemka.

I takim substratem był wiersz, który odczytałem na plenum Redakcji —(jest to bowiem elita filozofów, poetów i prozaików.)

Jednak przyznać się muszę, choć mi to bardzo przykro, że utwór ten wywarł olbrzymie wrażenie, mało-przygniatające, że się tak wyrażę technicznie.

Myślałem, że stworzyłem arcydzieło podobne do Ramajany. Tymczasem prysła złuda. Zaraz ze wszystkich stron podnosiły się głosy, ach jakie „to głupie", zaczynają ci „panowie" z Redakcji „kręcić nosami" i mruczeć „banalne", „słabo napisane", no i wszystko według nich ściągnięte.

A jeden z nich pyta mi się dość dyskretnie: ty a z którego to miesięcznika oderżnąłeś ten — no wiesz? czy nie przypadkiem z przed powstania? Mówiąc prawdę znalazłem się w kropce i co takiemu „Panu" odpowiedzieć?

Ja, który tyle nocy nie przespałem, tyle się namęczyłem nad tym wierszem, przepisując go, poprawiając w nieskończoność „na czysto", żeby ostatecznie Redakcja zakupiła dla moich prac specjalny kosz?...

Trzeba jednak przyznać naszym „biednym literatom", że mają trudny orzech do zgryzienia — bowiem trafić w gust sztubaka to dalibóg wielka sztuka.

Po ukazaniu się „Nad Poziomy", zaraz szara brać studencka zbiera się pod ścianami i krytykują —

> Co za brednie i banialuki popisał ten... no nie wiesz?... (prawdopodobnie to ja miałem być).
>
> W końcu ostateczna i druzgocąca ocena...
>
> Naiwno - głupie, pół oderżnięte, a druga połowa ściągnięta, pisane na efekt.

Ponieważ ten mój występ literacki skończył się dla mnie dość smętnawo, przeto teraz postanowiłem już dosięgnąć szczytów fantazji i zadowolić wszystkich bez wyjątku, mojem najnowszem dziełem, nad którem się jeszcze głowię. No ale za to już czeka mnie bezterminowa przepustka do nieba, albo laur doczesny.

Otóż pracuję obecnie nad „tragi - epopejo - dramatem" w ścisłym tego słowa znaczeniu. Narazie nie mogę się jeszcze zdecydować na miejsce akcji, codziennie ją przenoszę z Chrzanowa do Jaworzna lub innej okolicy — no ale przecież miejsce akcji dramatu — to jeszcze nie wszystko — grunt to treść a jest ona bogata i przewspaniała...

Pominąwszy już to, że od ósmej do drugiej uczą mnie o jakichś tam X-ach, Y-ach, Kruksach, spermatocytach, angstremach, a na omastę przychodzi łacina o różnych Ciceronach i innych hexa czy 10-cio metrach — no ale to wszystko nie przeszkadza mi jeszcze aby stworzyć imponującą treść.

To jest mówiąca książka (ten mój utwór), takiej książki chyba jeszcze nikt nie słyszał tak mówić —

> o ponurych dzikich — zbrodniach, których nigdy nie było, kradzieżach na olbrzymią skalę nigdy nie popełnionych, uroczystościach — wogóle nie projektowanych. Imponująca ilość trupów w każdym akcie — a jest ich dosyć dużo bo o ile sobie przypominam to zdaje się 21.
> Sceny pełne tajemniczości i wstrząsające do szpiku kośći swoją grozą, setki tysięcy cowboyów, maszyn piekielnych do pisania, kompanja djabłów, kobieta, uczucie, Seminarjum, dworzec, łzy, serce, kolej — jednem słowem EPOPEJA POWAŻNA W STYLU DAWNYM, tchnie trochę melodramatem z przed Chrystusa.

No i czy któryś z Czytelników chociażby za samą treść, nie mówię o wykonaniu i o słowach, które same za siebie mówią — nie przyzna mi Palmy Pierwszeństwa, której nie mógł rozstrzygnąć autor Słowa Uznania???...

„Cwaniak z 8-mej.“

O klasie ósmej uwagi ciekawe.

Jak wiadomo całemu cywilizowanemu światu, w powiatowem mieście Chrzanowie istnieje gimnazjum męskie. Leży ono na jednej z piękniejszych ulic tego świetnego grodu. Dla turystów, pragnących zwiedzić tę perłę ziemi krakowskiej podaję kilka danych: ludność przeważnie pochodzenia nie-aryjskiego, strój narodowy długi, czarny chałat, język większości mieszkańców żargon. Miasto posiada piękną Aleję Henryka, jedną ulicę brukowaną, na tejże trotuar, który mógłby się z powodzeniem znajdować w samej Warszawie. W dni gorące unosi się, szczególnie w okolicy rynku, rozkoszna woń cebuli. Bliżej zainteresowanych odsyłam do „Przewodnika po wielkich miastach Europy”, a sam wracam do wspomnianego wyżej gimnazjum.

Ludzie złośliwi zrobili mu niezbyt pochlebną sławę pielęgnowania wszelkiej miernoty umysłowej. Ciekawa rzecz! Takim panom zdaje się, że Chrzanów ma wyłączny przywilej

wypuszczania nieuków. Krytykując poziom umysłowy, który zresztą nie jest wcale tak niski, jak się im wydaje, nic nie mówią o innych szkołach tego typu, gdzie nie jest bynajmniej lepiej, jeżeli wprost nie gorzej, jak np. w gimnazjach śląskich, o czem miałem sposobność przekonać się. Zresztą krytyka jest to, jak wiadomo, sąd o tem, czego się nie rozumie, nie trzeba się więc zbytnio dziwić zdaniom, zdumiewającym nieraz swą naiwnością.

Z okien rzeczonego budynku gimnazjalnego roztacza się wspaniały widok na dziedziniec seminarjum żeńskiego, po którym to dziedzińcu przyszłe nauczycielki spacerują z wielką gracją, poważnie lub z żywością, zależnie od wieku, no i od tego, czy kto na nie patrzy. Chodzi oczywiście o efekt.

W jednej z sal (nie najpiękniejszej) mieści się klasa ósma. Jak można wnosić z wyglądu ścian, była to niegdyś sala wspaniała, ozdobiona rozmaitemi malowidłami i rysunkami, o czem świadczą niezbicie różnej wielkości gwoździe tkwiące we wspomnianych ścianach. Gwoździe te pomagają nam odtworzyć wygląd dawnej sali metodą rekonstrukcji, której to metodzie oddajemy się ze szczególnem zamiłowaniem na pewnych lekcjach, które w zasadzie są prawdopodobnie bardzo zajmujące, ale które nie znajdują z niewiadomych powodów należytego zrozumienia u nas, adeptów boskiej wiedzy.

W tej to historycznej klasie pędzi ofiarny żywot ważna, bodaj czy nie najważniejsza cząstka „budy”, t. zn. ósmacy lub primanerzy, jak kto woli. Przeświadczenie o tej wielkości starają się nam wszczepić wszyscy nasi wychowawcy i niewychowawcy „Wy, przyszłość narodu, element twórczy społeczeństwa, kwiat inteligencji tegoż, przyszli kierownicy nawy państwowej“, te i tp. piękne zdania słyszymy na każdym kroku. Ma to oczywiście swój skutek. Taki ósmak dowiedziawszy się, jak ważną jest figurą, nosi głowę wysoko, na młodszych kolegów niedoli patrzy z góry, na koleżanki śmiało i zabójczo, „niech truchleje płeć zdradziecka”, jak mówi Fredro.

A jest nas czterdziestu pięciu młodzieńców pełnych werwy i temperamentu, ochoty do życia, czasem i do nauki. To ostatnie jest oczywiście o wiele rzadsze, gdyż wzięliśmy sobie za zasadę „nie przemęczać się”. Wiadomo, jak szkodliwy wpływ wywiera na organizm zmęczenie, umysł znużony traci bystrość sądu, szybkość orjentacji, ta zaś jest nieodzowna

w „bitwie morskiej“ boksie lub innych tego rodzaju niewinnych rozrywkach. Nie przeciążeni zbytnio wiedzą, ale za to z pogodą ducha i z niezachwianą wiarą w siebie, zdążamy do egzaminu dojrzałości, zgodnie ze zdaniem jakiegoś filozofa, który powiedział, że nie sztuka zdać maturę, gdy się jest świetnie przygotowanym.

Niech kto mówi co chce, matura jest jednak potrzebna. Może zresztą nie tyle sama matura ile maturyczne świadectwo. Czasem byłoby rzeczywiście trudno uwierzyć, że dany adolescent jest już dojrzałym umysłowo; gdy zaś dostanie „na piśmie“, że jest mądry, wtedy już nikt chyba nie ośmieli się wątpić.

Ale wróćmy do rzeczy, to jest do klasy ósmej. Są tu ciekawe typy i grupy. Są sportowcy i poeci, filozofowie i żarłocy, matematycy, fizycy, zakochani. Tych ostatnich, zdaje się najwięcej. Szczególnie teraz na wiosnę. Młodzieńcy mają melancholijne oczy, wzrok utkwiony najczęściej w okna lub w sufit. Duchy ich krążą najprawdopodobniej gdzieś koło seminarjum, a już zgoła nie koło przedmiotu lekcji. Ale nie na tem, niestety, koniec. Sentymentalny chłopak zaczyna pisać wiersze. Straszna rzecz. Sypią się sonety, anakreontyki, ody, na cześć ubóstwianej, lub rozpaczliwe elegje do okrutnej lub niewiernej. Muzy muszą być wściekłe: prócz urzędowych swych piewców wspomagać muszą przygodnych poetów — zakochanych. Apollo najchętniej rozbiłby swą lutnię na głowie nieszczęsnego „wieszcza“, ale z poetami trudna sprawa, nie ustępują tak łatwo. Więc Srebrnołuki zrozpaczony ucieka na Olimp, do swego potężnego ojca. A figlarny Amorek śmieje się serdecznie w kącie z kłopotów swego boskiego kolegi.

Ludzie złośliwi powiadają, że pisanie wierszy jest pewną formą obłędu, czasami uleczalną. Ale są to, powtarzam, złośliwcy, którzy napewno nie czytali utworów naszych „urzędowych poetów. Każdy taki utwór to uczta duchowa dla istoty obdarzonej wyższem poczuciem piękna. Wogóle nasz Parnas klasowy przedstawia się znakomicie: są tu pseudoklasycy, są godni następcy Byrona, są i futuryści. Jedni piszą o pasterzach, łączkach, gajach, strumyczkach, miłości, drudzy uderzają w wyższy ton: góry, chmury, księżyc, gwiazdy, pioruny, skrzydła orle, wyśnione raje, rozpacz, brak ideału i t. d.

Futuryści wreszcie wolą maszyny, młoty, krzyki, zgrzyty, stalowe podniebne rumaki (czytaj: samoloty) i t. p.

Najpiękniejszym naszym poetą jest bezsprzecznie kolega „W. Z.“. Mistrz to prawdziwy! Nie można go zaliczyć do żadnej szkoły, jest on poprostu genjuszem uniwersalnym. Potrafi pisać równie dobrze o różnych kwiatkach, bławatkach, dziewczęciu bosem. jak i o zemście, pustce w duszy, trującym życia jadzie. Na żądanie utnie na poczekaniu taką odę do ołówka lub trzewika, że aż dziw słuchać. Na skrzydlatym Pegazie aż hen ku nieśmiertelnym się wzbija, z Muzami na Helikonie zasiada, Feba samego swym śpiewem zadziwia...

Zawsze wyobrażałem sobie poetę, jako mężczyznę smukłego, roztargnionego, z włosem zwichrzonym. Nasz mistrz przeczy jednak najzupełniej mojej fantazji. Wzrok pewny siebie (poczucie własnego genjuszu), twarz, jak księżyc w pełni (muszą go bogowie nieźle karmić ambrozją), krok poważny, żeby nie powiedzieć: majestatyczny, głowa nieco wprzód pochylona, zapewne pod ciężarem myśli. Ostatecznie nie można mu brać tego za złe, że nie wygląda tak, jak ja sobie poetę wyobrażałem. Tembardziej, że jest on także wspaniałym oratorem. Każdą swą mowę kończy tak pięknie i głośno, że nawet najzatwardnialsze śpiochy, nie mające najmniejszego zrozumienia dla oratorskiej sztuki, budzą się i otwierają usta, z podziwu zapewne (złośliwi koledzy twierdzą, że jest to zwyczajne ziewanie, ale nie wierzcie im).

Drugi z rzędu poeta, który nie występował jeszcze na łamach naszego pisemka, przystojny mężczyzna w wieku poborowym, to zdecydowany romantyk. Liryk z niego pierwszorzędny. Ulubionym jego rodzajem są listy, ulubioną piosenką „Wspomnienie” Szumana w przeróbce Walewskiego, przyczem pierwszy wiersz zmodyfikował sobie w ten sposób: „Najmilszą dla mnie jest j e j wioska”...

Nadzwyczaj ciekawy jest trzeci z trójcy naszych wieszczów klasowych, kol. „M. H.”. Wraz z nim wkraczamy w dziedzinę żarłoków. Mógłby kto sądzić, że poeta tylko powietrzem, natchnieniem Muzy żyje. Otóż i kol. „M. H.” jest żywem zaprzeczeniem takiego mniemania. Potrafi on w przedziwny sposób łączyć prozę z poezją (a to jest prawdziwa mądrość życiowa). Mąż ten imponującego wzrostu konsumuje przez cały Boży dzień bułki, chleby i t. p. materjalne pokarmy.

Zbożne to zajęcie przyczynia się walnie do wytworzenia dobrego humoru, którym zaraża wszystkich.

Jest pewny siebie (źródła tej pewności nie dochodzę, ze względu na bohatera); ulubionem jego wrażeniem jest: „filozofja kołka w płocie”. Gdy chce argumenty swe uczynić bardziej przekonywującemi, uderza się wymownie w czoło i mówi: „zrozumże”... (tu następuje odpowiedni epiteton ornans). Ma przytem dużo tupetu, który mu znakomicie ułatwia życie. Nie bierzemy mu tego za złe czasem wprost zazdrościmy. Co do jego poezji, to można ją zaliczyć do poważniejszej; zresztą, mało miałem sposobności zachwycać się jego Muzą, gdyż w pisemku wystąpił, zdaje się, raz tylko, a pozatem ukrywa zazdrośnie płody swego talentu przed okiem profanów.

Wspomniałem już o żarłokach. Jest ich kilku. Prym wiedzie oczywiście poeta „M. H.“, inni, to dopiero adepci wzniosłej sztuki, obżerania się.

Ale o nich kiedyindziej. Tak samo o reszcie ósmakow.

Michał Bryniowski kl. VIII

Uśmiechy dziecka.

poświęcone H. H.

Niebo za uśmiech szczęścia, co twarz Twą promieni,
Za życia Ci zapłaci anielska dziecino —
Miłością tych — do których serc jak szczęście płyną
Chwile uśmiechu radością wiosennych strumieni.

Los życia, szczęścia Twego nigdy nie odmieni,
Uwięziony raz modłów najszczerszych głębiną —
Nawet z zmierzchem, gdy Twoje uśmiechy przeminą,
W sercach zostaną — lecz bez nadziei jesieni...

Z daleka omijam wspomnienia i wzruszenia,
Czemuż jak dziecko w serce zaglądasz boleśnie?
Ty! światło zanieść możesz i w serce z kamienia.
Jeśli jesteś ułudą marzeń, którą prześnię —

Uszanuj serce, co jest świątynią milczenia...
Tym zostaw szczęście — co zaznają go we śnie...

»Kropidło« z 8-mej.

Garść wspomnień z wycieczki.

„Wyka” na Baranią odbyła się pod hasłem: „Pierwszorzędnie” — no i jak stąd wynika musiała być „pierwszorzędną”. Nieinaczej.

Szczyrk. Chwała Bogu, że te „otrzęsiny autobusowe już się skończyły, bo gdyby tak dłużej to napewno odechciałoby się wszystkim nawet Baraniej i Stożka.

Jesteśmy w restauracji — czy „pierwszorzędnej”? być może. W każdym razie wieczór „nawet” miły; było coś „z obracanki”, bo znalazło się jakieś pianino. Muzyka wcale nie „pierwszorzędna” — choć dla nas wystarczy to i to — bo nie wiem... wina Krysi, czy pianina?.., Nawiasem mówiąc Loda tak się roztańczyła, że jeszcze — w ścisłem kółku „komuny” — przy księżycu popisywała się — ku wielkiemu mojemu oburzeniu — na stole przed domem.

Co się zaś tyczy „komuny, było tak: przy kolacji stół pod oknem obsiadła morowa szóstka — ale nie „morowa” — i od tej pory trzymała się razem. Niech jednak ktoś nie pomyśli, że się uprawiało jakiś seperatyzm, jak to na wycieczkach bywa. Broń Boże! Jak zresztą i wszystkie uczestniczki dążyłyśmy do wytworzenia jaknajmilszej atmosfery, co się udało w zupełności i dlatego „wyka” miała charakter naprawdę „pierwszorzędny.

Cały szereg „pierwszorzędności” zaczęły wielkie, słodkie e. c. t. ostrężnice, które sprawiały wiele kłopotu gronu. Stale któraś z dziewcząt — a ja najczęściej — zostawała wśród czarnych jagód, zajadając się niemi.

Po drodze oglądałyśmy „pierwszorzędne” widoki, nie zachwycając się jednak niemi, bo najpiękniejsza część wycieczki miała nastąpić dopiero dnia następnego.

I rzeczywiście nastąpiła. Zaczęło się od wspaniałego

wschodu słońca, którego nawiasem mówiąc nie widziałam, czego mocno żałuję. Dolina Czarnej Wisełki istne „cudo”, godne tylko dłuta takiego rzeźbiarza, jak przyroda. Na pierwszy rzut oka wygląda niepozornie, ale kto choć trochę umie patrzeć i obserwować życie i zjawiska natury, doszuka się tu tego, co człowieka czyni małym wobec siły, pracy i czasu.

Nie będę opisywać wszystkich uczuć estetycznych, jakie wtedy przeżywałyśmy, boby to dość mglisto wypadło. Życzę wszystkim, by do doliny Czarnej Wisełki zrobili wycieczkę i to koniecznie letnią porą.

Z północnego zbocza góry Baraniej sączy się wiele niewinnych pasemek wody, które nieco niżej łączą się po kilka i wesoło, z radosnym śmiechem staczają się po skałach. To znowu, jak małe dzieci, kryją się gdzieś w szczeliny po to, by dalej wytrysnąć ponownie niefrasobliwym szczebiotem. Dalej płynie już mały strumyczek. Ten zaś, jak młody chłopak żądny wrażeń i przygód „indjańskich” szuka najbardziej dzikich urwisk, przepaści. Biegu jego nie wyśledzi oko wśród zatamów góry, jak nie można przewidzieć wybryków fantazji chłopięcej. Słyszy się tylko jego głośny, młody, nieokiełznany huk.

Zbocze góry coraz łagodniejsze; mały strumyczek zmienia swój bieg. Niekiedy, rozlewając się szerzej, tworzy zwierciadlane tafle wśród drogi, jakby zatrzymywał się i poddawał młodocianym marzeniom o większych, bogatszych we wrażenia przygodach. Wymarzył. Zrywa się, biegnie, realizuje marzenia. I oto widzimy dwa piękne wodospady. Woda szumi, rozpryskuje się, wyzwalając zapał i siły młodzieńcze.

Wyładowanie nastąpiło, a z niem rozpoczyna się nowy bieg, nowe życie. Ideały, piękno, praca, Już woda strumyka płynie trochę spokojniej, tworzy małe baseny malowane cudownemi odcieniami zielonych, niebieskich i żółtozielonych barw. Dolina coraz głębsza. Widać przerznięty masyw górski odkrywający warstwy geologiczne, które na dnie Wisełki występują jako płyty. Woda pracuje, pracuje... Fale płyną od wieków jednakowo, spłukują z tafli atom po atomie i drążą w nich swój kształt.

To młody, zdrowy i wielki zapał, to miłość pracy, co kuje przyszłość pokoleń.

c. d. n. *J. Wiśnicka kurs IV.*

Wrażenia z wycieczki zastępu „Bobrów" pieszo z Chrzanowa do Zakopanego.

Następne dwa dni naszej wycieczki były bardzo niepogodne. Niebo zakryły czarne, deszczowe chmury, wylewając od czasu do czasu strugi deszczu. Dalsza wędrówka była niemożliwa, postanowiliśmy czekać. Zaraz opatrzyliśmy sobie rany z całej podróży i odpoczywaliśmy spokojnie, aby nabrać sił do dalszej drogi. Przy tej okazji zwiedziliśmy Zakopane.

Wreszcie wiatr rozpędził chmury, słonko rozświeciło znowu wesoło. Niebo było bez chmurki, co wróżyło piękną pogodę. Wczesnym rankiem wyruszyliśmy do doliny Kościeliskiej, najpiękniejszej z dolin tatrzańskich. Tu zatrzymaliśmy się dosyć długo z powodu kąpieli i małej drzemki. Skonsumowawszy część naszego pożywienia opuściliśmy ten przepiękny zakątek naszych gór, pełen dziwnego czaru i zaklętych w różne kształty skał. Z doliny Kościeliskiej ze śpiewem ruszamy na Czerwone Wierchy. Po drodze straciliśmy szlaki, ale wnet zorjentowaliśmy się, że jesteśmy po stronie czeskiej. Wspinaliśmy się do góry po wielu małych i większych grzbietach, by dotrzeć na szczyt Czerwonych Wierchów, do granicy naszego państwa. Dziwne jest uczucie, gdy, siedząc na słupku granicznym ma się nogi w Polsce, a plecy w Czechosłowacji. Następnie zdobywając szczyt po szczycie, dążymy na Kopę Kondracką, a z niej na halę tej samej nazwy. Tu spotkaliśmy dwóch księży. Po miłej z nimi pogawędce poszliśmy razem ku szałasom, gdzie uraczyli nas krowiem mlekiem i żętycą. Weseli — bo nie głodni — wróciliśmy do Zakopanego. Krótką jeszcze przechadzką zakończyliśmy ten dzień naszej wycieczki.

Szósty dzień pobytu w Zakopanem: Rano wysłuchaliśmy mszy św. w kościele parafialnym, po śniadaniu zaś wybraliśmy się na zwiedzenie innych dolin w pobliżu Zakopanego. Był to raczej spacer do Białego Potoku i Strążyskiej, dość bogaty we wrażenia i wesołe przygody. U wejścia do doliny Strążyskiej przywitał nas huk potoku i szum drzew. Idziemy dalej ze śpiewem aż tu nagle oczom naszym ukazały się znane postacie, siedzące nad brzegiem potoku i wpatrujące się w cuda przyrody. Był to nasz kochany wychowawca pan

profesor Bachorz z małżonką. Widok ten bardzo nas ucieszył. Chcieliśmy ten obrazek utrwalić na kliszy, ale słońca odpowiedniego nie było. Nie chcąc przerywać nastroju siedzących sprawiliśmy się tak, że nie zauważono naszej obecności i wnet udaliśmy się w powrotną drogę.

Siódmego dnia wybraliśmy się do doliny Małej Łączki. Tu zabawiliśmy parę godzin, spożywając placki i owcze mleko. Tu też postanowiliśmy, że w poniedziałek wybierzemy się wczesnym rankiem do Morskiego Oka na trzy dni i to przez Zawrat. Wszyscy cieszymy się myślą, że to już w poniedziałek będziemy nocować w górach i przeżywać nowe i znowu inne wrażenia. Dlatego każdy z nas prosi Boga o zdrowie i piękną pogodę. Zwiedziwszy dość pobieżnie dolinę, wróciliśmy do domu ze śpiewem i dobrymi humorami.

Całą niedzielę spędziliśmy w Zakopanem. Rano wysłuchaliśmy mszy św., a czas przedpołudniowy spędziliśmy indywidualnie. Po południu zaś udaliśmy się na mecz piłki nożnej gdzie niemało naśmialiśmy się z zakopiańskich graczy. Wieczorem poszliśmy do parku, gdzie był koncert wojskowej orkiestry. Wnet jednak wróciliśmy, by należycie wypocząć przed drogą do Morskiego Oka.

c. d. n.

»*Stary Bóbr*«.

Lekcja matematyki.

Dzwonek . . . .
Skończyło się niemieckie, ten wstrętny język Hitlera. Każda z błogim wyrazem twarzy składa książkę i zeszyty. Jeszcze jedna godzina i do domu!!! Rozmyślanie przerywa donośny głos, podobny do gromu Zeusa z Olimpu. „Wiwat matematyka". Równocześnie podnoszą się krzyki: „Było jakieś zadanie? bo jest geometrja czy algebra?" Powstaje nieopisany zamęt. Jedna woła: „Algebra", druga silnym „tenorem": „Przecież wczoraj była geometrja to dzisiaj algebra". Najpilniejsza, zagląda do zeszytu „na brudno" (ponieważ innego nie

posiada), i stanąwszy na katedrze, uroczystym „barytonem” oznajmia: „Niema zadania, ani geometrycznego, ani algebraicznego, może więc być co chce”... Głęboki oddech ulgi wyrywa się z każdej piersi. Zresztą ostatnia godzina.

Dzwonek . . . .

Cicho! idzie pan profesor.

Cisza . . . .

Drzwi otwierają się i wchodzi pan profesor z katalogiem i teczką pod pachą. „Oho! w dobrym humorze” — zauważyła Krzyśka. „Mówię ci, że nic nie umiem” — szepcze pobladła Nela do Władki.

„Proszę pokazać zadanie?” — brzmi wdzięczny głos profesorski. „Ależ niema żadnego zadania” — odpowiada chór zdziwionych głosów. „W takim razie przechodzimy do nowej lekcji, do „Przekształcania pierwiastków”. „Panna M.... proszę do tablicy i rozwiąże pani takie zadanie”. Wywołana, żegnając się skrycie, staje przed tablicą, rzuca błagalny wzrok na klasę i zaczyna robić zadanie.

Tymczasem w klasie powstaje zrazu szmer, wzmagający slę z każdą chwilą, wreszcie przechodzi w spokojne, lecz dość głośne rozmowy o kinie, snach, przygodach i t. d. „Czemu Pani nie pisze? — zwraca się profesor do jednej z uczenic. „Zapomniałam zeszytu i ołówka, zresztą pan profesor nie kazał pisać” — brzmi odpowiedź. „A pani gdzie ma zeszyt?” Skończył mi się i muszę dopiero kupić nowy. Profesor pokiwawszy głową — odchodzi. „Panna N. dokończy zadanie — dziękuję”. Pytana powraca na miejsce z wypiekami na twarzy i błądnym wzrokiem. Do uszu jej dochodzą głosy: „świetnie”, „przyciś”. Siada, podpiera skołataną głowę i zaczyna wodzić beznadziejnie ołówkiem po kartce papieru, w duchu zaś przyznaje rację przysłowiu jednej z pań profesorek, że „z próżnego nie naleje”.

Lekcja toczy się dalej „żółwim marszem”, przerywana wykrzyknikami, koleżeńskiemi podpowiadaniami, a nawet nagwałt opanowywanemi śmiechami.

„Halina, za ile dzwonek“ — słychać coraz częściej. „Za pięć minut, nie przeszkadzaj!“.

„Proszę o chwilę spokoju“ — odzywa się pan profesor — „na jutro przyniesiecie na geometrję po 7 patyczków dł. 80 cm., ostro czemś zakończonych, a do rysowania prostych

linij z braku ekierek szczapy do palenia pod kuchnią". „Ależ będzie świetna lekcja" — mówi zachwycona Ola. „Nie trzeba będzie pisać" — dorzuca druga. Wreszcie przychodzi kurenda „jutro kino o 12-tej po 15 gr.".

Co przepada? — „geometrja"!

Chwała Bogu, a teraz do domu!!!

Włada N. V. gimn.

Kronika Państw. Gimnazjum męskiego.

W dniach od 12 do 14 marca, młodzież całego Zakładu wzięła udział w rekolekcjach prowadzonych przez ks. prof. Jana Wolnego, przystępując w ostatnim dniu do Stołu Pańskiego.

W dniu 19-tym marca Komisja Obchodowa Rady Gmin wspólnie z Pryw. Seminarjum urządziła w sali T. G. „Sokół", uroczystą akademję ku czci Pana Marsz. J. Piłsudskiego. Na program złożyło się przemówienie kol. abit. Staicha Tadeusza. deklamacja kol. Dziubkównej Krystyny, solo skrzypcowe kol. abit. Zielińskiego Edwarda (przy fortep. kol. abit. Winiarczyk Zbigniew), żywy obraz w wykonaniu koleżanek i kolegów oraz piękne popisy chórów obu Zakładów pod kier. pp. prof. Zawiły Stanisława oraz Skrodzkiego.

W dniu 28. kwietnia odbyło się doroczne święto lasu. W nabożeństwie brała udział wszystka młodzież, a w sadzeniu drzewek klasa Va i po czterech delegatów z każdej klasy.

Redaktor: Muszyński J. uczeń kl. VIII.

Wydawca i Redaktor odpowiedzialny: prof. Stefan Walentoski.

Drukiem Lipmana Diamanta w Chrzanowie, ul. Dobczycka 13. — Telefon 60.